

GANGSTERZY

ANDRZEJ JAR

Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek niczego nie robił.
/Edmund Burke/

Ktoś się śmieje, że mówiło się dotąd, że jest tu dosyć nudno. Prawdę mówiąc, dla bardzo wielu, dla większości – dla ludzi na emeryturze, którzy nie potrafią uruchomić wyobraźni, pójść do pobliskiego parku, patrzeć, rozmawiać, poznawać ludzi – naprawdę musi tu być nudno. Żal mi ich, kiedy wychodzą rano przed dom, siadają na ławce i czekają, aż ktoś się przysiadzie i będzie można zabijać nudę (czas) kłapaniem o niczym.

Było więc dość nudno. I nagle, niespodziewanie, z jakiejś psychologicznej niemocy administracji osiedla, za zgodą wyrażoną nie wiadomo z jakiej przyczyny, z zupełnie niezrozumiałej decyzji zarządu, wprowadził się do tego spokojnego zespołu budynków, do tego *condominium* dla seniorów, gang handlarzy narkotyków i prostytutki. Zajęli kilka mieszkań w różnych miejscach trzyczęściowego kompleksu.

Interes był otwarty 24 godziny na dobę. Spragnieni kokainy czy heroiny klienci walili w drzwi w środku nocy, prostytutki sprowadzały klientów o każdej porze. Spokój zniknął, już nie było nudno. Tylko że chyba nie o taki *excitement* chodziło.

Wszystko się zmieniło. Ludzie, którzy – latem zwłaszcza – przesiadywali całe dnie na ławkach przed domem, zamknęli się w swoich mieszkaniach, bojąc się bez potrzeby wytykać nos na zewnątrz. Kilkuosobowa grupa kryminalistów sterroryzowała lokatorów, zmieniła ich dotychczasowy tryb życia i tryb życia całego sąsiedztwa – mieszkańców pobliskich domów i pracowników dbających o porządek otoczenia.

Kilka osób wystąpiło aktywnie przeciwko gangsterom – dzwoniąc do administracji osiedla na *hot line* czy składając meldunki na policji. Ale większość była przestraszona. Panowało uzasadnione przekonanie, że bandyci mają broń. - Trzeba przeczekać – mówi mi jeden z przestraszonych, kiedy pytam, dlaczego nie reaguje na tę sytuację, nie zupełnie nie robi. Inny, ze sztywną nogą, broni gangu – bo przynieśli mu któregoś dnia (dla zamknięcia mu gęby oczywiście) torbę z jedzeniem. Szywnonogi mówi o gangu jak o Armii Zbawienia.

Na parę nocy zatrudniono ochroniarzy, którzy stróżowali od dziesiątej wieczór do piątej rano. Efekt tego był taki, że nocą zrobiło się nieco ciszej, mniej było łomotania do drzwi budynku. Ale poza tym...? Gangsterzy wynajmowali tu przecież mieszkania, mieli klucze do drzwi wejściowych – kto im zabroni wprowadzić o drugiej czy trzeciej w nocy znajomego. Kto zabroni mieszkającej tu prostytutce zaprosić do siebie w środku nocy „wujka” czy „kolegę z pracy”. A we mnie krew się gotowała. Wścikałem się na tchórzy, tłumacząc im, że większość nie może pozwolić na to, by być terroryzowaną przez kilkoro bandytów. Mówiłem, że komunę przeżyłem, nie bałem się ZOMO, więc nie przestraszę się gangsterów, na czele których stał 32-letni Murzyn, podobno Somalijczyk. Reagowałem na każdy podjeżdżający samochód, pytając –

klientów lub dystrybutorów narkotyków – w jakim celu przyjechali. A kiedy odpowiadali, że tylko na pięć minut do kolegi, pytałem czy „kolega” ma przynieść kokainę czy heroinę i proponowałem, że poczekam na „kolegę” razem z nimi, stojąc przy samochodzie, żeby zobaczyć co to będzie. To zdecydowanie psuło narkotykowy interes. Czasem wybuchałem i groziłem przyjeżdżającym po towar, dając im pół minuty na zniknięcie mi z oczu.

Na noc, wbrew temu co było dotychczas i wbrew przepisom, bandyci zostawiali wejście do budynku otwarte, podkładając pod drzwi jakiś kawałek szmaty czy coś takiego, żeby spragnieni kokainy czy heroiny klienci mogli zastukać do ich drzwi o każdej porze. Na ile mogłem, wyrzucałem te szmaty. Związane z tym w pewien sposób było wydarzenie kulminacyjne. Wychodziłem któregoś dnia z domu akurat w momencie, kiedy moja sąsiadka – kobieta z dobrych lat 60., którą lubię, miła i inteligentna – zwracała uwagę Murzynowi, że nie może zostawiać na noc otwartych drzwi... *F... off* – odpowiedział Murzyn – dorzucając do tego jeszcze kilka wyzwisk i ostrzeżenie przed wtykaniem nosa w jego sprawy.

Nie jestem skory do bijatyki, w przypadku spięcia wołę się wycofać, uznając mordobicie, szarpanie za przejaw chamstwa. Ale są momenty, kiedy krew chłopaka z gdańskiej portowej dzielnicy we mnie zagra i nie zastanawiam się wówczas nad kulturą zachowania. Murzyn nie zdążył skończyć zdania, kiedy z pół obrotu, bez zastanowienia, wyrzuciłem go w mordę aż się wykopyrtnął. Podniosłem go za włochaty łeb z ziemi i rzecz, dla lepszego zapamiętania, powtórzyłem. Tym razem wpadł na ścianę budynku i się obsunął. Podniosłem go raz jeszcze, strzeliłem w pysk i wyjaśniłem jasnymi słowami, jakiego zachowania od niego się oczekuję. Gangster miał głupi wyraz obitej gęby, nie mogąc zdaje się uwierzyć, że on – szef gangu, mający pod boki grupę swoich bandziorów – został w ten sposób potraktowany. Trzymałem go zaciśniętą pięścią za koszulę, przypartego łbem do ściany, przemawiając tak, że chyba najgroźniejszy z jego bandziorów by lepiej nie potrafił. Zapomniałem w tym momencie o kulturze, literaturze – o wszystkim właściwie – dusiła mnie wścickość i byłem gotowy lać bandytę w mordę nadal. Chyba czuł to...

Następnego dnia zaparkował pod domem znany mi już z codziennych wizyt dystrybutor narkotyków, którego również nie potraktowałem grzecznie, zapowiadając, że za chwilę może otrzymać po mordzie, jeśli zaraz nie zniknie. Zadzwonił po pomoc. Murzyn wypadł z dziką, naćpaną gębą, z pomocnikiem, białym zbójem również nafaszerowanym drugami. Natarli na mnie, zaczęli popychać. Cofnęli się, kiedy wystawiłem zaciśniętą pięść i złapałem Murzyna za pysk. Widać było, że chcą zaświecić mi w oczy bronią, ale był jasny dzień i parę osób, ewentualnych świadków,



w pobliżu. Ograniczyli się więc do wścickłych grózb. – *You are a dead man* – rzucił gangster.

Nie bałem się, ale zrobiłem się czujny. Nie oddalałem się na zbyt długo od domu, patrzyłem – zwłaszcza rano i wieczorem, o których to porach zwykłem wychodzić do parku – kto za mną idzie na ulicy, byłem gotowy do uskoku na widok podjeżdżających samochodów, gdyby w ich oknie błysnęła lufa. Stąd też wydrukowana gazeta lipcowa przeleżała w drukarni prawie dwa tygodnie. Wiedziałem, że czarny nie zapomni jak został sprowadzony na ziemię ciosami w mordę, po których podnosił się z trudem, i że dobrze wie, iż organizuję ludzi przeciwko niemu, ośmielał ich – a przede wszystkim nie może w swojej głupocie zrozumieć, dlaczego się go nie boję – jego, szefa zorganizowanego, uzbrojonego gangu. W pewnym momencie, w poniedziałkowy BC Day, chcąc pokazać swoją przewagę znów wyleciał za mną z narkotykowym obłędem w oku, wyciągnął plik banknotów, proponując mi złośliwie zakup lepszego ubrania... Rozwścieczył się, kiedy zareagowałem na to śmiechem i palnięciem go otwartą dłońią w niskie czołko.

Co do mojego ubrania to mógł mieć wprawdzie rację, gdyż jestem abnegatem – mało dbam o swój wygląd – a już zwłaszcza latem, kiedy wystarczają mi do moich wypraw do parku krótkie portki, spłowiata koszula i sandały. Za mniej niż tydzień okaże się jednak, że to nie ja musiałem zmieniać swój strój, w którym czuję się wygodnie – a on, na państwowy, zdaje się pomarańczowy – nie wiem czy taki, który mi się podoba.

Policja zrobiła nalot w niedzielę. Jeszcze w nocy z soboty na niedzielę trwały łomoty do drzwi narkotykowej klienteli. Koło południa policja aresztowała cały gang, zajmujący mieszkania w dwóch budynkach. Grupa odważnych przyjęła to oklaskami. Grupa tchórzy pozostała z problemem, prawdopodobnie do końca życia. Nakarmiony przez gangsterów, stający w ich obronie dureń ze sztywną nogą znalazł się w izolacji, ignorowany prawie przez wszystkich, a już na pewno przeze mnie.

Siedzimy więc teraz na tarasie z „naszą” grupą, pijemy piwo. Zawsze byliśmy sobie przyjaźni, ale te wydarzenia zdecydowanie zbliżyły nas do siebie. Czujemy się solidarni, obiecujemy sobie, że nie pozwolimy, aby coś takiego się powtórzyło – żeby źli ludzie zakłócili nasze życie. Ja czuję się dobrze, ponieważ stałem w centrum tej walki, i dodatkowo – o czym opowiada z podziwem kobieta, w której obronie stanąłem – strzeliłem w mordę czarnego handlarza narkotyków. Prawdę mówiąc, sam trochę się dziwię, że powaliłem na ziemię dwa razy młodszego, podnieconego kokainą narkomana. Może to ta moja jazda na rowerze...?

Tylko... W pewnej chwili złapałem się na tym, że zacząłem patrzeć z niechęcią, podejrzliwie, na czarnych. Naszła mnie refleksja, jak łatwo, zwłaszcza pod wpływem złego doświadczenia, człowiek zaczyna uogólniać, tworzyć stereotypy. Murzyn to kryminalista, Chińczyk jest fałszywy, Żyd jest handlowym kombinatorem i polakożercą, Hindus to brudas, artysta pijak, a muzułmanin terrorysta. Nie od rzeczy będzie też tu wspomnieć *Polish jokes*, tworzące obraz Polaka jako wiejskiego głupka. Niebezpieczne jest takie myślenie, jest prostą drogą do nienawiści.

Widzę w autobusie czarnoskórego nauczyciela prowadzącego wycieczkę przedszkolaków różnych ras, który z humorem panuje nad zachowaniem grupy; jest sympatyczny. Przypominam sobie rozmowę z Irańczykiem o filmach Buñuela czy z Żydem z miejscowego teatru o Grotowskim. Pamiętam Afrykanina, którego wiedza o historii i literaturze Ameryki wprost wbiła mnie w ziemię. Znam Chińczyka, od którego można się uczyć historii Europy. Podziwiam kulturę osobistą, elegancję i wiedzę o malarstwie (impresjonizm zwłaszcza) poznanej w parku Trout Lake młodej muzułmanki w hidżabie... I tak dalej. Każda narodowość składa się z ludzi przyzwoitych i z ludzi złych – z mądrych i z głupich. Przy czym zło i głupota wiążą się według mnie ze sobą w sposób nierozłączny. Głupota prowadzi do czynów nieobliczalnych, jest pozbawiona ludzkiej wrażliwości.

Czarnoskóry przywódca gangu był dla mnie od pierwszego wejrzenia człowiekiem głupim. Od początku miałem mocne przekonanie, że albo zostanie wkrótce zastrzelony przez rywalizujący gang, albo trafi do więzienia. Miał szczęście, trafił do więzienia – ocalał, przynajmniej na jakiś czas, swoje szczerze życie.

Ale w miejscu, gdzie mieszkam, wciąż jeszcze nie jest zupełnie normalnie. Uraz pozostał. Ludzie popijający piwo na tarasie zrywają się z plastikowych krzeseł na odgłos zatrzymującego się pod domem samochodu, patrzą kto przyjechał. W weekend koło północy widziałem kręcących się tutaj *junkies*; widać więc o tym adresie jako hurtowni narkotyków się rozniosła... Mam pretensje do administracji, że wynajmując mieszkania typom, w których na kilometr można rozpoznać kryminalistów – narkomanów i prostytutki – narobiła tyle zła i czasu jeszcze nie wiadomo ile minie, zanim będzie tu całkiem normalnie. Nie mówiąc o tym, że wydano pieniądze nie na posadzenie nowych kwiatów albo na jeszcze kilka grządek warzywnych, ale na nie potrzebnych tu nigdy dotąd ochroniarzy. Jestem pewny, że będę miał okazję o to zapytać. Już jestem zapisany w administracji jako *angry man*, któremu – jako jednemu – gang groził bezpośrednio, który – jako jedyny – przeciwstawił się bandytom aktywnie i który – jako jedyny – stanął w obronie kobiety i nawalił po mordzie szefa gangsterów.

Dobre zaś co z tego płynie (chyba się powtarzam) jest to, że bardziej zwracam teraz uwagę na dobrych ludzi – uśmiechających się przy mijaniu na ulicy, mówiących *Hi!* itd.

Wkurzyłem się tylko, kiedy kobieta – którą określiłbym jako starszawą – chciała ustąpić mi miejsca w autobusie. Pocieszam się, że prawdopodobnie – ponieważ założyłem w tym dniu duże ciemne okulary – wzięła mnie za osobę niedowidzącą.

– Proszę pani – powiedziałem – dziękuję, ale ja nie jestem taki stary. Wczoraj dałem w mordę handlarzowi narkotyków...

Kobieta roześmiała się i usiadła ponownie na miejscu, z którego dla mnie się podniosła.